

## Trzy pilne decyzje

Przed Ameryką i jej sojusznikami nadal stoją trzy decyzje, które podjęte łącznie, mogłyby odmienić obecny fatalny rozwój zdarzeń na wschodzie Europy. Ale nie od dziś przywódcy Zachodu nie chcą ich podejmować, bo się boją. Więc zwlekają, dojutrują, odkładają ad infinitum, albo nawet wprost odmawiają rozmowy o kluczowych decyzjach, choć rzeczywistość coraz mocniej dociska ich do ściany.

Jeśliby posłużyć się znanym żargonem geopolitycznym (niestety znieprawionym za sprawą mody na geopolitykę) – to można by rzec, że owe trzy decyzje układają się w swego rodzaju „drabinę eskalacyjną”. Decyzja pierwsza i najprostsza, to wycofanie idiotycznego warunku, jakim Waszyngton obwarował dostawy broni dla Kijowa, iżby z jej pomocą armia ukraińska mogła atakować wyłącznie... terytorium własnego kraju. Już samo takie sformułowanie istoty tego zakazu pokazuje jak w pigułce cynizm i absurd amerykańskiej polityki, od początku wojny polegającej na tym, aby popychać Ukraińców do długotrwałego wyniszczenia i wykrwawienia kraju, a jednocześnie blokować realne szanse na uczynienie wojny na tyle nieznośną dla Moskwy, iżby skłonić ją do poniesienia planów podporządkowania sobie Ukrainy. Tak jakby istniał jakikolwiek inny sposób na to, aby Moskali zmusić do odejścia z Ukrainy, niżli zadanie Rosji wielkich szkód, zniszczeń i klęsk na jej terytorium.

Decyzja druga – to zaproszenie Ukrainy do członkostwa w NATO. W tej materii – niestety – obowiązuje na Zachodzie coś na kształt oficjalnego kłamstwa, którego nikt z kluczowych polityków nie ma odwagi podważyć. Nie tak dawno powtórzył je szef polskiej dyplomacji Sikorski w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej”. Nic zresztą dziwnego, bo owo oficjalne kłamstwo sformułował i obwieścił, jako obowiązująca doktrynę, lider całego Zachodu – prezydent Biden, przed ubiegłorocznym szczytem NATO w Wilnie. Argumentując wówczas, dlaczego wniosek Kijowa nie zostanie w Wilnie rozpatrzony, Biden orzekł – ni mniej ni więcej – że akceptacja tego wniosku byłaby równoznaczna z przystąpieniem całego sojuszu do wojny. Tylko Litwa zdecydowała się, chyba na złość Bidenowi, sprostować jego kłamstwo, istotę rzeczy wyrażając „kawa na ławę”. Litewski sejm podjął nawet specjalną uchwałę, tłumaczącą, iż w zaproszeniu Ukrainy do NATO idzie przecież o to, aby już teraz dać Ukraińcom pewność, iż po zawarciu zawieszenia broni „reszta” ukraińskiego terytorium, nieokupowana przez Moskali, stanie się bezpieczna, dzięki gwarancjom NATO i dyslokacji wojsk sojuszu. Bo tylko taka pewność mogłaby popchnąć Kijów do zgody na zawieszenie broni, wedle znanej formuły „koreańskiej” – zostajemy tam, gdzie dziś przebiega linia frontu. Co prawda Kreml oficjalnie odżegnuje się od takiej formuły, ale ostatnimi czasy już trzeci raz z rzędu wysyła sygnały, iż mógłby na coś takiego przystać, jeśliby Ameryka przekonała Kijów do takiego *modus vivendi* (*vide*: poważne informacje Reutersa sprzed kilku dni).

Na „eskalacyjnej drabinie” decyzja trzecia idzie dalej niżli zaproszenie Ukrainy do NATO, rozumiane na sposób litewski, jako pewność bezpieczeństwa „day after”. W trzeciej decyzji idzie bowiem o wydanie rozkazu zestrzeliwania rosyjskich rakiet i pocisków atakujących terytorium Ukrainy przez sojusznicze lotnictwo i obronę powietrzną.

Domaga się tego prezydent Ukrainy, przekonując, iż gdy ze wschodu nadlatują moskiewskie rakiety, to: „i tak podrywane są polskie samoloty, ale nie zestrzeliwują tych rakiet”. Postulat taki jest najzupełniej dorzeczny, o ile tylko nie przybiera formy sugerującej, iż to Polska (no bo który inny kraj graniczący z Ukrainą, przecież nie Węgry ani Słowacja!), przy milczącej akceptacji Ameryki, miałyby na własną odpowiedzialność rozkazać swoim siłom zbrojnym zestrzeliwanie rosyjskich pocisków. Sam fakt, iż pomysł funkcjonuje jednak ostatnio publicznie w takiej właśnie „polskiej” wersji, pokazuje oczywistą złą wolę jego zachodnich zwolenników („dać Polsce zgodę na atakowanie celów rosyjskich”). Jeśliby bowiem o takiej akcji mówić serio (a więc bez założenia, że w Warszawie siedzi w istocie rząd szaleńców), to rosyjskimi raketami musiałyby się zająć US Air Force. Owszem, mogłaby to robić startując także z baz na polskim terytorium.

Można by rzec, iż przy wszystkich tych trzech decyzjach stawką w grze są „tylko” przyszłe losy Ukrainy, co (jakby to cynicznie nie brzmiało) może się z perspektywy Zachodu wydawać rzeczą nie aż tak znów doniosłą. W końcu to przecież nie kto inny, jak ciągle uwielbiany przez europejską opinię publiczną Barack Obama, kpił sobie publicznie z idiotycznego jego zdaniem konceptu, wedle którego Ameryka miałyby się angażować w jakiś „spór terytorialny” nad dalekim Donem. Obama był oczywiście politycznym głupcem, czego ze strachu przed jego licznymi wielbicielami nie przyznaje się nadal wprost ani w Europie, ani w Ameryce. Ale dzisiejsi przywódcy Zachodu wydają się już być świadomi tego, że sprawy na wschodzie Europy doszły do tego momentu, gdy w powietrzu zawisło proste, ale zarazem egzystencjalne dla Europy i Ameryki pytanie, którego wszakże nikt publicznie ciągle nie waży się wprost stawiać. Brzmi ono: czy Waszyngton i jego sojusznicy gotowi są docelowo pogodzić się z perspektywą powrotu

Ukrainy pod rosyjską hegemonią w wyniku obecnej wojny, czy też dla utrzymania Ukrainy w orbicie wpływów Zachodu gotowi będą raczej któregoś dnia sami pójść na wojnę z Moskwą?

Jasne jest, że tak postawione pytanie wykracza poza obowiązującą dziś na Zachodzie poprawność polityczną. Albowiem oficjalna zachodnia doktryna głosi, iż Ukraina obroni swoją wolność bez udziału sił sojuszniczych, bez zaproszenia do NATO, a nawet z wymuszonym zakazem wyrządzania szkód i zniszczeń na terytorium Rosji. Że jest to doktryna niedorzeczna wiadomo niemal od początku wojny. Ale od jakiegoś czasu wiadomo też, że jest to doktryna uderzająco niekoherentna z wojennymi faktami, o których każdego dnia donoszą światowe media i coraz bardziej ponure komunikaty płynące z Kijowa.

„Jak nie będzie czym się bić, to będziemy walczyć pazurami” – mówi prezydent Ukrainy, a z pewnością czegoś takiego nie powiedziała by jeszcze rok temu. Tak czy inaczej, pilne podjęcie owych trzech odkładanych *ad infinitum* decyzji, połączone oczywiście z potężnym wysiłkiem finansowym najbogatszych sojuszników zachodnich – jest być może ostatnią szansą na to, aby nie musieć któregoś dnia jawnie i wprost odpowiadać na główne, choć zakazane dotąd pytanie egzystencjalne. W przeciwnym razie stanie się kwestią czasu to, który z kolejnych szczytów NATO będzie zmuszony albo skonstatować (oczywiście ze smutkiem), iż Ukraina jest znów pod hegemonią rosyjską, albo rozpocząć prawdziwą wojnę z Moskwą o to, czyja ma być Ukraina.

*Jan Rokita*